Nr. 1. | Należ. poczt. opłac. ryczałtem | We Lwowie, 1. stycznia 1929. Rok 51.

ŁOWIEC

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 7·50 złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 90 zł, 1/2 str. 50 zł 1/4 str. 30 zł, 1/8 str. 15 zł, 1/16 str. 10 złp., 1/32 str. 5 zł. -- Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50 % drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki, o godzinie 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.

Polskie Przedsiębiorstwo Ochrony Łowiectwa św. Huberta — Rzędówka p. Leszczyny — Górny Śląsk

poleca przez swoje biuro rekomendacyjne personal od nadleśniczego do dozorców i gajowych. Dla Oficerskich Klubów Myśliwskich i Stowarzyszeń Łowieckich, — poleca specjalnie wykwalifikowanych w łowiectwie na dozorców łowiectwa, również młodych wykwalifikowanych pomocników w hodowli bażantów, oraz jako strzelców za wynagrodzeniem.

Wolny stół i kieszonkowe.

Wszelką zwierzynę, rogi, kły

preparuje trwale

F. M. Złotnicki

LWÓW, Pasaż Hausmana 8. Tel. 56-29.

SKÓRY SUROWE z lisów, kun, tchórzy, wyder, zajęcy i królików kupuje, przyjmuje do wyprawy

oraz wykonuje wszelkie

FUTRA

Pracownia Futer KAROLA SCHÜRERA Lwów, Senatorska 10 (Boczna Romanowicza)

BROŃ MYŚLIWSKA w dużym wyborze (ponad 200 sztuk)

Fabryki A. Forgeron, J. Defourny, J. Nowotny, Sauer, Braekers etc.

po cenach przystępnych poleca

WŁADYSŁAW SKĄPSKI

Skład broni i amunicji — Kraków, Rynek 9

Franciszek Kalkus

Lwów, — Zimorowicza 14

Tel. 43-40.

Przyjmuje wszystkie rodzaje ptaków i ssaków do preparowania według najnowszej techniki preparatorskiej (dermoplastycznie). Specjalnością pracowni jest preparowanie zwierząt egzotycznych — oprawa i naprawa rogów.

Przyjmuje skóry do garbowania z włosem.

Myśliwym na polowania

polecam najtaniej

przewyborne wędliny, wódki, likiery, koniaki, wina, rumy, łososie, węgorze, marynaty, konserwy, sery, cukry i wszelkie delikatesy.

Wysyłka natychmiastowa. — Największy wybór.

ZOFJA TELICZEK

LWÓW, ul. Akademicka Nr. 6.

TELEFON 34-41. TELEFON 34-41

Wszelką dziczyznę

kupuje za gotówkę

firma ALBERT SZKOWRON

Lwów, Kopernika 3.

R. NERLICH. Bielsko - Śląsk

FABRYKA ŚRUTU

Wielki skład broni,

amun., przyborów myśliwskich

Dostawa żywej zwierzyny dla odświeżenia krwi.

Polskie Przedsięb. Ochrony Łowiectwa św. Huberta

Rzędówka p. Leszczyny — Górny Śląsk

przyjmuje już teraz zamówienia na żywą zwierzynę:

zające, bażanty, wszelki gatunek kuropatw, oraz na zwierzynę grubą dla odświeżenia krwi i podniesienia zwierzostanu. Dostawa: grudzień, styczeń, luty, marzec.

Żądać cennika i warunków dostawy.



NR. 1. WE LWOWIE, 1. STYCZNIA 1929. ROK 51.



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Z Nowym Rokiem, pięćdziesiątym trzecim naszego istnienia zasyłamy Członkom, Współpracownikom, Czytelnikom i Przyjaciołom naszym serdeczne „Szczęść Boże!“

Odezwa.

Zeszłoroczna długa zima i wiosna zimna i dżdżysta wyniszczyła dotkliwie na terenach naszej pieczy powierzonych stan zajęcy. Obraz jego, jakiśmy mogli na podstawie informacji udzielanych nam przez delegatów naszych, oraz rezultatów dotychczas odbytych polowań odtworzyć, przedstawia się wprost katastrofalnie. Wydział Towarzystwa przedsięwziął już kroki u pp. Wojewodów małopolskich zmierzające do przyspieszenia czasu ochronnego w roku bieżącym dla zajęcy od 16. stycznia i przedłużenia go do 31. października.

Niezależnie od tego wzywamy naszych myśliwych, właścicieli i dzierżawców łowisk, aby w zrozumieniu konieczności tego zarządzenia ściśle do tego terminu ochronnego naszego szaraka zastosować się zechcieli, a Delegatów naszych upraszamy o energiczną ingerencję i pomoc w dopilnowaniu zastosowania się do naszego postulatu, z jakim zwracamy się z ufnością do naszego Ogółu łowieckiego.

WYDZIAŁ.

Międzynarodowe Towarzystwo Ochrony Żubra.

Pod powyższym tytułem zawiązane zostało w roku 1923 towarzystwo, którego prezesem wybrano d-ra K. Priemela z Frankfurtu nad Menem.

Wówczas, tak samo, jak i dzisiaj, znajdowały się jedynie w polskiem ręku będące żubry w Ogrodzie Zoologicznym w Poznaniu. Miało to w następstwie, iż z pośród członków Towarzystwa „Ogród Zoologiczny“ uchwalono, gdy inne dzielnicy Polski w utrzymaniu żubra nie okazały interesu (widocznego przynajmniej) założyć miejscowy Komitet, na reprezentanta tegoż wybrać Wł. Janta-Połczyńskiego z Poznania, a na sekretarza dyrektora Ogrodu Zoologicznego, K. Szczerkowskiego. Komitet brał czynny udział we wszystkich kongresach, jakie się do tego czasu odbyły, i jego też jest zasługą, iż przyszły kongres Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubra odbędzie się w r. 1929 w Poznaniu. W ostatnim czasie zainteresowały się Towarzystwem Warszawa i ogłoszonych zostało kilka odezw w „Łowcu Polskim“ przez pp. Stolcmana, J. Gieysztora i K. Świderskiego podpisanych. Pocieszającą więc jest zmiana na lepsze i podkreślić tylko należy, co wypowiada p. Świderski w artykule z dnia 20. października r. z.

„Wszystkie nieomal żubry, znajdujące się obecnie przy życiu, pochodzą z naszej puszczy Białowieskiej. Tylko nam Polakom wierzyć wolno, że my z racji posiadania Białowieży, możemy i musimy mieć żubry w dzikim stanie. A jednocześnie pozwalamy sobie na kompletne prawie zaniedbanie tej świętej sprawy“.

I tak jest w rzeczywistości. Polska posiada dotąd 34 członków w M. T. O. Ż., gdy Niemcy mają ich 194, a Włochy 42. W jakiem położeniu znajdzie się Polska na kongresie w Poznaniu z trzydziestu czterema członkami? Czyż nie wstyd byłoby nam, jako gospodarzom, powitać gości naszych już przez względ na tradycję i interes, jaki mieć powinniśmy w utrzymaniu żubra, w tak nieuzasadnionej skromnej liczbie?

Komitet poznański zajmie się z urzędu organizacją gospodarczą Kongresu w Poznaniu, natomiast fachową prezes p. dr. K. Priemel z Frankfurtu, ale liczbę członków powinna dostarczyć cała Polska i to jest celem niniejszej odezwy. Kto będzie na przyszłość kierował sekcją Towarzystwa na Polskę, tego ani nasz wybór dokonany w r. 1924, ani odezwa niniejsza, nie ma przesądzać. W roku bieżącym na dzień przed Kongresem zwołamy Walne Zebranie członków do Poznania i tam zapadnie — mamy nadzieję — za wspólną zgodą i dla dobra sprawy wybór miejsca, jako i osób, które dalszą organizacją Towarzystwa a jednocześnie i opieką żubra naszego zająć się winni.

Tymczasem zapraszamy wszystkich przychylnych sprawie utrzymania żubra w Polsce do zgłoszenia przystąpienia do „Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubra“ do niżej podpisanego komitetu w Poznaniu. Wkładka roczna wynosi 10 zł. od pojedyńczego członka, a 40 zł. od Towarzystw i Instytucyj. Przystępującym nadesłane zostaną ustawy Towarzystwa.

Za Komitet:

Wł. Janta-Połczyński — *prezes*

Szczerkowski — *Dyr. Ogrodu Zoologicznego sekretarz*

Gorąco apelujemy do Członków M. T. Ł., aby jaknajliczniej przystępowali do wyż wspomnianego Towarzystwa.

SEWERYN KROGULSKI

PÓŁ WIEKU!

(Ciąg dalszy)

W tej samej kolumnie czytamy, że Wydział zorganizował w swem łonie komisję redakcyjną „Łowca“ pod przewodnictwem A. Mniszka i komisję celem opracowania projektu ustawy łowieckiej dla Sejmu; sprawę zaś organizacji delegatów oddał w ręce wpr. Czarkowskiego-Golejewskiego.

Delegatów mianował Wydział w 44 powiatach; dalsze mianowania w toku.

Wkładki członków ustalono na 300 Mp. rocznie, dla zawodowych leśników 200, wpisowe 50 Mp.

Zapowiedzią zwołania XX-go Zjazdu łowieckiego na dzień 11. czerwca 1921 i podziękowaniem od Redakcji członkom za nadesłane korespondencje — kończy się treść 1-go numeru „Łowca“ odrodzonego.

* * *

Z chwilą skompletowania oraz ukonstytuowania nowego Wydziału i wznowienia wydawnictwa „Łowca“, wchodzi Towarzystwo już na normalne tory owocnej swej działalności. Ile czasu i trudu, wytężonej pracy i zapobiegliwości dziełu odbudowy łowiectwa musiał Wydział poświęcić — mówią o tem protokoły z obrad Walnych Zgromadzeń, niżej streszczane.

* * *

Drugi powojenny — kolejnie XX — Zjazd łowiecki odbył się dnia 11. czerwca 1921 w obecności 55-ciu członków.

Posiedzenie zagaja prezes J. hr. Bielski powitaniem prof. Janusza Domaniewskiego, jako delegata Pol. Tow. Łow. w Warszawie i star. radcę St. Kumora, jako przedstawiciela Rządu.

Następnie przedstawia dzieje Towarzystwa w ubiegłym roku, oświadczając, że „byt tegoż oparł się na pewniejszych podstawach: rachunki i budżet mamy uporządkowane; reorganizacji delegatów dokonano w 60-ciu powiatach; skutecznie walczy Towarzystwo z kłusownictwem; projekt ustawy łowieckiej dostarczony przez delegata J. Domaniewskiego — Wydział Tow. dokładnie przetrutynował i wieloma zaopatrzył uwagami z propozycją zmian koniecznych dla rozwoju łowiectwa“.

Dalej czytamy: „Wreszcie poświęca prezes kilka gorących słów wspomnienia zmarłym członkom Towarzystwa w ubiegłym roku. Obecni uczcili pamięć przez powstanie“ *).

Sprawozdawca z czynności Wydziału wpr. A. Mniszek podnosi zasługi zarówno dobrodziejów, którzy znacznemi subwencjami przyczynili się do wskrzeszenia „Łowca“, jak i towarzyszy, mianowicie: Kumora, Streera i Wacka, którzy ofiarnie i bezinteresownie pracą swoją Towarzystwu służą. Dalej oznajmia, że koszt wydawnictwa jednego numeru „Łowca“ wynosi 15.000 Mp.; że dzięki pułk. Marjańskiemu — szefowi sztabu D. O. Gen., — Wydział interwenjował skutecznie w sprawie nadużyć myśliwskich osób wojskowych; że w Poznaniu powstał „Polski Związek Myśliwych“, który wydaje czasopismo p. t. „Łowiectwo polskie“ i zaproponował nam przystąpienie doń, co ochotnie Wydział uczynił.

Wkońcu sprawozdawca czyni wniosek na uchwalenie wkładek członków w wysokości 300 mp. rocznie, tytułem zaś wpisowego 50 mp., co jednomyślnie nastąpiło.

Skarbnik T-wa. Kumor, zdając sprawę o stanie funduszu, oświadcza, że suma zapasu kasowego 115.000 mp. powstała z wkładek członków i z dobrowolnych datków, wynoszących 58.700 mp.

Na wniosek członka Komisji szkontrującej Stef. Reichardta udzielono Wydziałowi absolutorjum z rachunków za okres ubiegły i uchwalono preliminarz na dalszy okres w sumie 121.000 mp.

Z uzupełniających wyborów w miejsce St. hr. Mycielskiego, S. Krogulskiego i dr. Wł. Burzyńskiego, którzy mandaty swoje złożyli, tudzież w miejsce wyloso-

*) Niewiadomo czyją pamięć uczczono, gdyż w żadnym protokole ani w „Łowcu“ z tego czasu niema wzmianki o nieboszczykach. A więc oddano cześć chyba „nieznanym żołnierzom“ z pod naszego znaku...

wanych w myśl § 22 statutu, weszli do Wydziału w charakterze członków: St. Pieńczykowski (ponownie), T. Jędrzejowicz, St. Orski i Z. Streer, a jako zastępcy: Ludwik hr. Mycielski, dr. Jan Kalm-Podoski i inż. K. Kamienobrodzki.

Delegat J. Domaniewski przedstawia wniosek założenia Wszechpolskiego Związku Towarzystw Łowieckich, do któregoby weszły wszystkie w państwie istniejące towarzystwa myśliwskie, celem wspólnej obrony interesów łowiectwa. Uchwalono polecić Wydziałowi wdrożenie kroków i powzięcie inicjatywy w tej sprawie.

Po dyskusji nad wnioskiem del. H. Preka i przekazaniu go Wydziałowi, by w porozumieniu z delegatami zamknąć na rok jeden polowanie na kuropatwy, tam gdzie je wojna wyniszczyła — porządek dzienny został wyczerpany, zaczem przewodniczący zamknął obrady.

Z inicjatywy r. Kumora zebrano na pomoc doraźną dla Górnego Śląska kwotę 11.000 mp.

Zawody **strzeleckie**.

W obecności licznych widzów ze sfer cywilnych i wojskowych, nie wyłączając i płci pięknej, przystąpiono do zapasów.

Pierwsze nagrody zdobyli:

W strzelaniu z pistoletów — major Kordzik,
„ do tarczy na 100 kroków — H. Prek,
„ „ „ „ 200 przez lun. J. Jabłonowski,
„ „ dzika ruchomego — Stefan Reichardt,
„ „ lisa „ — A. Kapliński,
„ „ rzutków — Stefan Reichardt.

W strzelaniu o mistrzostwo stają do walki pierwsi premjanci: Jabłonowski, Kapliński, Prek i Reichardt. Po zaciętym boju Preka z Reichardtem mistrzostwo, a z niem i wędrowną nagrodę — kordelas ufundowany przez M. Jaroszyńskiego — zdobywa Reichardt — a ponieważ wygrywa ją po raz drugi z rzędu, w myśl więc statutu fundatora, przeszła w wieczyste i nieograniczone posiadanie zwycięzcy.

* * *

XXI-szy Zjazd łowiecki odbył się w dniach 23. i 24. czerwca 1922.

Zebranych w sali Towarzystwa gospodarczego zwyż 80-ciu uczestników wita prezes J. A. hr. Bielski radosnemi słowy i dziękuje im za przybycie na obrady w tak znacznej liczbie, w czem widzi dowód zrozumienia u myśliwych potrzeby szukania w instytucji naszej pomocy celem naprawy olbrzymich szkód w łowiectwie. Prócz wielu tych, których od przybycia na Wal. Zgrom. dzisiejsze — mówi Prezes — wstrzymały przeszkody natury prywatnej lub trudności komunikacyjne, nie mogli, niestety jawić się i ci, których śmierć z szeregów naszych zabrała.

W tem miejscu prosi o głos wpr. Mniszek i oddaje hołd zmarłym, oznajmiając, że rozstali się z życiem: Juljusz hr. Bielski, Antoni Czarkowski, Wilhelm hr. Siemieński, Edward Szupik, Tadeusz Süssle i pułk. Władysław Ścibor Rylski. Cześć zmarłym oddają zebrani przez powstanie z miejsc, a mówca podnosi, że z Juljuszem hr. Bielskim — ojcem naszego prezesa — ubył Towarzystwu najstarszy członek, myśliwy-hodowca ze starej gwardji, którego pamięć zawsze nam świeżą będzie. Przy tej sposobności mowca wnosi rezolucję, aby Walne Zgromadzenie, świadome olbrzymich zasług ś. p. Aleksandra hr. Skarbka dla Ojczyzny złożyło również hołd należny pamięci tego znakomitego obywatela, jakkolwiek członkiem M. T. Ł. nie był. Uczyniono to jednomyślnie, zaznaczając tą uchwałą żywy udział Towarzystwa w ogólnej żałobie narodowej po przedwcześnie zmarłym patrjocie.

Prezes, wyraziwszy swe podziękowanie za objawione współczucie z powodu zgonu jego Rodzica, w dalszym ciągu zagajenia podkreśla z zadowoleniem, że starania Wydziału, poczynione u wszystkich władz państwowych, natrafiły na pełne, obywatelskie zrozumienie ważności spraw kultury łowieckiej; u wszystkich spotkano się z objawami szczerych chęci skutecznego popierania Towarzystwa w jego żmudnej pracy.

Wkońcu odczytuje prezes depesze referenta spraw łowieckich Min. rol., tudzież Towarzystwa myśliwych w Wilnie z życzeniami pomyślnego wyniku obrad i otwiera je nad sprawami objętemi porządkiem dziennym Wal. Zgromadzenia.

Referent sprawozdania z czynności Wydziału Dr. A. Sander zapowiada, że do spraw poszczególnionych w 6-tym zeszycie „Łowca“ r. b. doda tylko to, co jest koniecznem lub to, co zdziałano już po wydrukowaniu sprawozdania. Podnosi przedewszystkiem, że na konferencji, odbytej w dniach 26. i 27. b. r w Warszawie, w której z wpr. Czarkowskim-Golejewskim uczestniczył, w kwestji utworzenia Ogólnego Związku łowieckiego całej Polski — żadne pozytywne uchwały nie zapadły i sprawę tę skierowano na sejmik Pol. Związku myśliwych w Poznaniu. Na sejmik ten, odbyty 19 czerwca b. r. delegat nasz wpr. Mniszek na czas nie zdążył, a to wskutek braku bezpośredniego połączenia pociągu przez Śląsk Górny. Żywe jednak nasze zajęcie się tą sprawą, zadokumentowane zostało wysłaniem memorjału przed terminem dotyczącej konferencji, w którym wyłuszczono stanowisko M. T. Ł. wobec mającego się utworzyć Związku ogólnego.

Po udzieleniu tych informacji mowca przedkłada do uchwalenia w formie rezolucji cztery zasadnicze punkty, na podstawie których należałoby ułożyć dotyczący statut.

Rezolucję tę, zredagowaną doskonale, przewidującą bystro możliwość dowolnej interpetacji danego przepisu — jednogłośnie uchwalono.*)

---

*) Dalszy przebieg i ostateczny wynik tej sprawy nastąpi.

C. d. n.

X. LEON SAPIEHA

W LASACH ITURI*)

W dolinie Semliki.

W Wielki Czwartek spuszczaliśmy się z działu wód Congo-Nil, z niewielką karawaną, ku dolinie rzeki Semliki. Wypływa ona z jeziora Edwarda, płynie żyzną i pełną wszelakiego zwierza doliną, wkracza w lasy rekwatorjalne, łagodnym łukiem zawija koło stóp Ruwenzori i tworząc granicę między Congo belgijskiem a angielską prowincją Uganda, wpada do jeziora Alberta. Rzeka Semliki jest jednem ze źródeł Białego Nilu i tak, jak on, jest ulubioną przez słonie, antylopy różnych gatunków i hipopotamy. Myśliwemu jednak wstęp zakazany do tej doliny, gdzie tak bujne jest życie zwierzęce, a człowiek prowadzi marną egzystencję, niszczony chorobą snu. Rząd belgijski, bojąc się rozwleczenia tej epidemji, z wyjątkiem kilku niezbędnych dróg karawanowych do angielskich kolonij prowadzących, zabrania przybywania w tej zakażonej krainie.

Opustoszałe i smutne wyglądało obejście misji katolickiej, do któregośmy koło południa wkraczali. Plantacje zapuszczone, miażdżone przez słonie, dawniej porządne domki murowane, dziś puste i bliskie ruiny. Gdy stanęliśmy przed domem misyjnym, o wyglądzie wiejskiego pałacu, wyszedł na nasze przywitanie rosły, setny misjonarz, z rudą łopatowatą brodą i zarżał do nas tak donośnym śmiechem, że wszelkie myśli smutnawe i niewesołe wrażenia odrazu nam przepędził. Ksiądz był Holendrem, po francusku tylko słabo się tłumaczył, niewiele także rozumiał, ale ryczał ze śmiechu. Porozumieliśmy się jednak łatwo, że słoni jest bardzo dużo i że nocą, kiedy one odwiedzają księże pola, będziemy na nie robić wypady.

Przed zachodem słońca zrobiliśmy spacer po opuszczonem mieście Beni, na wzgórku, na samym Semliki położonem. Puste, walące się domy, częściowo ginące już wśród gęstych krzaków; potężna tutejsza przyroda szybko niszczy i zaciera ślady wysiłków człowieka.

W misji tymczasem kazał ksiądz kozę zarżnąć i czekał nas z sutym objadem; pieczeń trochę capkiem trąciła, lecz popłukaliśmy winem francuskiem ten posmak i najedzeni, jak bąki, zasiedliśmy do siesty na ganku przed domem. Noc tropikalna, ciepła i wesoła pełna odgłosów i życia; naprzeciw nas Ruwenzori śnieżysty, a z poza niego pyszny księżyc, prawie że pełny. z nielada paradą wyjeżdżał. W oczekiwaniu meldunku o słoniach, tą wspaniałą nocą nas odurzonych powoli sen zmorzył i postanowiliśmy dalej już w łóżkach czekać. Przygotowani na alarm, legliśmy w ubraniach na nasze łóżka polowe i wkrótce zasnęli.

*) Korzystając z łaskawego pozwolenia udzielonego nam przez Autora. rozpoczynamy przedruk najwięcej interesujących stępów z Jego świeżo wydanej książki.

— „Słonie w bananach!“ — huknął duchowny przez drzwi. Już sam wygląd księdza nas przekonywał, że sytuacja jest poważna; zamiast w dostojną rewerendę, ubrany był w kusą, szarą kurteczkę i wąskie płócienne spodenki; wydawał się większy i byłem pewny, że broda mu jeszcze urosła. Chwytamy za sztucery; ksiądz już w ręku dzierży swój zardzewiały karabin, do którego ma dwa naboje, każdy inny i tylko tem do siebie podobny, że z żadnym nie można szczelnie karabina domknąć. — Musiałem wobec tego naszego gospodarza uzbroić i ruszamy; pierwszy ksiądz, potem moja żona, a ja ostatni. Przyłączają się do nas wartownicy, którzy dali znać o słoniach, i podsuwamy się szybko przez ogródki i pola do zwartej plantacji bananów. W świetle księżyca ich liście błyszczą, jak puklerze, a z wnętrza tego gaju dochodzą nas liczne odgłosy, łamanie, stąpanie, dmuchanie; widać, że duże stado słoni jest w szkodzie. Ksiądz wyrychtował sztucer, jakby do ataku na bagnety ruszał; wszyscy mamy stracha, lecz idziemy. Nim wtargnęliśmy w zwartą plantację, misjonarz do nas się obrócił; myślałem, że rozwinie pokrótce swój plan strategiczny. Tymczasem zachichotał i powiedziawszy tylko dość głośno: — Madame attention! — ruszył. Nie głupie słonie; ucichły, jak makiem posiał i myśmy wyczekująco stanęli. Naraz trąbienie przeraźliwe, łomot, rejterada. Gdy ucichło, ksiąd pierwszy przemówił: „Partis“, my jak echo powtórzyliśmy: „Partis“ — i po wszystkiemu. Nie minęła godzina, a po drugiej stronie plantacji misyjnej podobny epizod się rozegrał.

Nazajutrz jednak hulałem wśród słoni: Wielkie płaszczyzny, pokryte trawami niewyrośniętemi jeszcze, do pasa mnie sięgającemi nie zasłaniały dalekiego widoku. Jedynie jary moczarowate, strasznie gęstemi krzakami zarosłe i dokoła wysoką już trawą pokryte, były przeszkodą w podchodzeniu.

Nie szliśmy jeszcze godzinę, gdy ujrzałem w otwartym terenie, daleko, pojedyńczego słonia; pierwszy raz taki widok miałem przed sobą i cieszyłem się nim niezmiernie. Nie była to mocna sztuka, o średnich kłach, które mogły mieć około 20 kg; mimo to postanowiłem go dostać. Słoń jednak szedł swym posuwistym krokiem, a ja powoli, mozolnie plątałem nogi w trawach, czując jeszcze w plecach skutki niedawnego upadku. — Szczęściem słoń stanął przed samą gęstwą takiego zarośniętego jaru i raz łeb w krzaki wtykał, to znów go wyciągał, a ciągle przytem się ruszał, widocznie nie mając zamiaru długo się zatrzymać. Pośpieszyłem ku niemu, co mogłem i z odległości około pięćdziesięciu kroków, bojąc się, że skryje się za chwilę w krzakach, mierząc w łeb, strzeliłem. — Zatoczył się słoń ku krzakom i zniknął; ścieżką, którą w haszczach i trawach wyłamał, za nim idziemy. Ta okropna masa, rozmachana panicznym galopem, druzgotała wszystko przed sobą, rozpylała błoto na metry wysoko. Farby ani kropelki nigdzie nie widać, co jednak nie zdziwiło mnie wcale, gdyż nie mogło być inaczej po kuli pełno-

płaszczowej, która w łeb trafiła. Pół godziny maszerowaliśmy za nim, a potem daliśmy za wygraną. Chwilę potem zobaczyliśmy dwa samce, które za sobą ciągnęły. Poszliśmy za lepszym i tak dobrze nas prowadził, że niedługo ujrzeliśmy stadko z pięciu sztuk słoni złożone. Dzielił nas od nich szeroki parów, z rozbełtanem pośrodku przez słonie bagnem; gdyśmy po pas błotem umazani, po drugiej stronie parowu wyszli, byliśmy od słoni nie więcej nad trzydzieści kroków. Używałem teraz na widoku i na podchodzeniu w otwartym terenie. Uważając jedynię na wiatr, chodziliśmy naokoło stada, nie starając się nawet ukryć. Dopiero widziałem, do jakiego stopnia słoń jest ślepy. Na kilkanaście kroków poruszającego się człowieka nie widzi, uważać trzeba tylko, by nie zwietrzył, lub nie usłyszał, to zaś ostatnie też nie bardzo jest prawdopodobne, gdyż raz widząc słonia, można być pewnym, że póki uszami macha, nic nie słyszy. A macha niemi prawie regularnie, gdyż różne owady pchają mu się do uszów. Teraz też poznałem powód tego monotonnego pukania, które tak długo w lasach w bliskości słoni słyszałem; uszami robią ten hałas, który przypomina uderzenia o źle napięty bęben. Niech jednak słoń nastawi te swoje olbrzymie słuchy, wielkie jak rozwarte wrota, wtedy łapie najmniejsze szmery w te nastawione płaty i już myśliwy musi się mieć na baczności, gdyż zwierz jeszcze nie słyszał, już jednak widocznie pilnuje.

Stało moje stadko zanurzone w trawę, że nóg, trąb, a co najważniejsze kłów nie było widać. Ponieważ jeden z byków wydawał się wzrostem niezły, więc obtańcowywaliśmy go ze trzech stron, by jego pysk, w trawę zaszyty, oglądać. Sam ułatwił nam jednak sprawę, bo po chwili, jak gdyby znudzony naszemi oględzinami, podniósł łeb do góry i, ziewając, rozdziawił paszczę. Nie wart był kuli, kły choć śliczne, białe, świecące, były jednak małe i cienkie.

Pierwszy raz spotkałem się z białemi kłami, dotychczas bowiem napotykane, żyjące w lasach ekwatorjalnych słonie miały kły pokryte czarną powłoką od miejsca, gdzie kieł z ciała wychodzi. Dwa różne powody przytaczano mi, tłumacząc ciemne zabarwienie kłów słonia: jedni mówią że to pochodzi od paszy, drudzy zaś, że zabarwienie nabierają od pocierania kłów o drzewa leśne, których soki pozostawiają ten czarny osad. To ostatnie tłumaczenie wydaje mi się prawdopodobniejsze, zabarwienie bowiem jest tylko powierzchowne i starłszy je odkrywa się kość białą. Jest jednak i różnica formy pomiędzy słoniem leśnym i słoniem stepów; słoń leśny ma kły smuklejsze, bardziej zakrzywione, zaś kły słonia, zamieszkującego bagna i stepy, są bardziej pękate. Na pograniczu wielkich lasów równika spotyka się formy przejściowe.

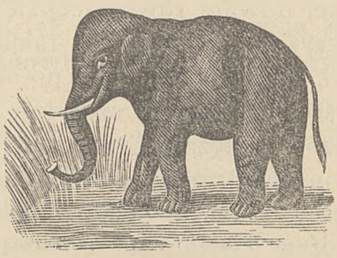
Na widok ładniejsze są białe kły, które, zdaleka widoczne, błyszczą w słońcu, kontrastując z ciemną skórą słonia. Dziś same białe spotykałem, a spotykałem ich sporo. Ledwie opuściłem moje stado, widziałem pojedyńczego samca, a następnie jeszcze kilka sztuk. Żadna jednak nie miała kłów, dla których warto byłoby rozprawić się z ich właścicielem.

Nazajutrz poszliśmy z żoną lasami ku rzece Semliki; dwa słonie wymknęły się nam na bardzo bliski dystans i zbliżyliśmy się, polując, nad samą rzekę. Dość dziwnem było sobie uprzytomnić, że są to żródła Nilu, które za czasów moich pierwszych lekcyj geografji, uchodziły za nieznane. Długo postępowaliśmy nad samym brzegiem rzeki; z pod liści, trącanych przez nas, zrywały się liczne muchy tse-tse, niebezpieczne w tych stronach. Mucha ta, wielkości naszego bąka końskiego, ma charakterystyczny układ skrzydeł, podobny do zamkniętych nożyc, z przodu żądło szpiczaste, horyzontalnie ustawione. Lata tak szybko, że trudno jej się opędzić; dla Europejczyka ubranego jest mało niebezpieczna, tem bardziej, że podobno niechętnie siada na jasnym kolorze. Pełno jej nad wodami, rzekami, lata niewysoko i tylko za dnia.

Z rzeki dochodziły nas parskania hipopotamów; gdy wypływają na powierzchnię wody, wydmuchują powietrze z hałasem, który dalekie grzmoty przypomina. Trudno było je ujrzeć, gdyż wody wezbrane, równo z lądem płynęły i nadarmo czekaliśmy, by zobaczyć te potwory, nie dla strzału, lecz dla zdjęć kinematografem.

Przyszła niedziela wielkanocna. W dużym przedsionku domu misyjnego odprawił ksiądz mszę. Myśmy byli jedyni biali obecni, pozatem zeszło się dość dużo murzynów, nawet mówiono, że z drugiej strony Semliki, ze stoków Ruwenzori na tę okazję przybyli. Naogół podpadał nam niezdrowy wygląd mieszkańców tej doliny, musieli widocznie wszyscy z chorobą snu mieć do czynienia.

Choć dobrze było w przestronnym domu misyjnym, choć słoni było bardzo dużo w tych stronach, opuściliśmy tejże niedzieli Beni. Ogólnie bowiem mówiono nam i sami to mogliśmy sprawdzić, że choć w dolinie Semliki jest słoni dużo, jednak wielką rzadkością jest słoń o dobrych kłach. Trzeba więc było w innych miejscach godniejszych trofeów szukać. Lecz były chwile, że po tylu nieudanych próbach, po takich bezowocnych trudach, zwątpiłem już i wydało mi się czasami niemożliwem zabić słonia, któryby cetnarem swych kości moje fatygi nagrodził. Umówiłem się więc z księdzem, że w razie, gdyby mi w dalszym ciągu tak się nie powodziło, to wrócę nad Semliki po łatwiejsze, choć gorsze trofea.



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI

W PUSTYNIACH TURKIESTANU 1902 R.

(Z ŻYCIA AZJATY)

Ciąg dalszy

Ile miałem siły w nogach, biegłem chyłkiem wzdłuż zakrywającej mnie od nich ściany, pozostawiając ludzi w dalszem ukryciu. Nagle na skale, o jakich 400 kroków przedemna, wyskoczyły dwa rogale, a w chwilę za niemi całe stado w podskokach i baraszkując z sobą, przebiegło. Licząc na bliższe ich podejście, opanowałem się i nie strzeliłem, a gdy straciłem ich z widowni, zwołałem mych ludzi i zaczęliśmy skradać się w kierunku, gdzie spodziewałem się je zastać. W tym czasie wiatr napędził w wąwozy i jary gęste tumany, nie pozwalające nam się orjentować w labiryncie uliczek rozszczelin, i byliśmy zmuszeni całą godzinę przeczekać, zanim mgły opadły i słońce oświeciło góry, a gdy wreszcie rozjaśniło się zupełnie, stada już odnaleść nie mogliśmy.

Wkrótce jeden z Dowidów nadbiegł z oznajmieniem, iż wielkie stado baranów stoi za niedalekiem wzniesieniem powyżej nas. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności mieliśmy teraz przed sobą góry o łagodnym spadku, połączone z sobą przystępnemi przełęczami, tak, iż mogliśmy pospiesznie podejść do miejscowości, gdzie barany obrały sobie spoczynek południowy. Przebiegłszy około 1 i pół wiorsty, znaleźliśmy się na grzebieniu góry, za którą zauważyliśmy całe stado idące już dalej, a w ich ariergardzie dwóch tęgich rogali. Postanowiliśmy zabiec im drogę, do czego miejscowość nam bardzo sprzyjała. Jak mi oznajmia Wasyl, barany nigdy prawie nie chodzą w pojedynkę, a zwykle parami, a to w tym celu, by się strzec i ostrzegać wzajemnie. Gdy nie są gonione a idą spokojnie, pierwszy rozpatruje okolicę, przejścia grzbietów górskich i przełęczy, drugi zaś ustawicznie ma oko i uwagę zwróconą na tyły, skąd idą. Stado jest zawsze pod osłoną barana strażującego, rzadziej matki, która dla swej kobiecej natury, mniej jest powołaną do pełnienia podobnej funkcji, i mniej skrupulatnie do niej też się odnosi.

Tak biegnąc po dość podatnej równinie pochyłej, dobiegliśmy do pierwszej ściany, a wychyliwszy za jej grzbiet głowy, spostrzegliśmy, że barany przeszły już za drugą wzniosłość i zmierzają iść w tą stronę, skąd my przyszli, jakby w zamiarze nas śledzenia.

Po krótkiej naradzie ja z W. idziemy za baranami, reszta pozostaje w dolinie. Stado, idąc coraz wolniej, przeszło za górę, a tylko dwa rogale w znacznym od niego odstępie, pozostawały nam na widowni. Zakryci wzniosłością od nich nas dzielącą, biegniemy ile tchu i sił mamy, przebiegamy poprzeczny wąwóz przez

---

ALBERT MNISZEK

Legendy i prawda o rozbójniku huculskim Doboszu.

Gdy zaglądniemy w dzieje Huculszczyzny i Kozaczyzny, znajdziemy w nich wiele podobieństwa i wiele cech wspólnych, podobny też obie te społeczności ludzkie stworzył motyw: ucieczka przed prawem, szeroka natura i folga swawoli.

Kozaczyzna wykwitła na podłożu bujnych bezkresnych ukrainnych stepów. Stworzyły ją niespokojne duchy, wędrowni, szukający przygód kondotierzy, zasłynęli w niej wielcy atamani i watażkowie oddający katom swe głowy, czasem w Krakowie, czasem w Carogródzie, ci jednak potrafili stworzyć silną i wewnętrznie karną organizację wojskową, niemal państwo w państwie. Słyżyli w niej i jej hetmanili nieraz i karmazyni polscy. Wyprawy kozackie po łup, bo polityczne motywy ich nie powodowały, owiane były duchem rycerskości, szalonej odwagi równającej się pogardzie życia.

Huculszczyzna powstała w ramach dzikich gór, na tle jasnych, słońcem oblanych połonin, na Beskidzie huculskim, wśród stromych szczytów i ciemnych, ponurych wąwozów potężnej Czarnohory. I jak tam do stepów ukrainnych ciągnęły duchy niespokojne, będące w nieporządku z własnem sumieniem, tak i tu osiedlali się ludzie, którym zależało na zniknięciu z ojczystych i rodzinnych pieleszy. Osiedlali się tu, począwszy od XV wieku Węgrzy, Wołosi, Rusini i Polacy. Przed odpowiedzialnością za popełnione zbrodnie chroniła ich niedostępność tych miejsc i coraz to większy zanik władzy państwowej polskiej w ostatnich dwu wiekach przedrozbiorowych. Łączenie się ze sobą tych narodowości przez przeciąg kilku stuleci stworzyło osobny, oryginalny typ ludności o charakterze wysoce indywidualnym tak w budowie ciała i rysach twarzy, jak i w stroju, zwyczajach i mowie. We wszystkich jednak tych objawach dominuje wybitnie typ słowiański. Huculszczyzna jednak w ciasnych granicach gór zamknięta, otoczona zewsząd kulturalniejszą od swojej ludnością nie mogła wziąć tego rozmachu w politycznem znaczeniu, co Kozaczyzna. Szeroka natura hucuła, uczucie bezkarności dzięki niedostępności do jego górskich pieleszy stworzyły zbójnictwo na wielką zakrojone skalę. Powstał typ specjalny, typ „opryszka“, element groźny nietylko dla mieszkańców tych gór, ale i dla całego podgórza wschodnio karpackiego bardzo niebezpieczny. Typ ten był jednak owiany zawsze urokiem pewnej poezji, piękna, sui generis rycerskości, słowem typ mołojca ukrainnego, przeszczepionego na grunt dzikich karpackich uroczysk. W oczach stepowego kozaka odźwierciadla się bezkarność i tęskny krajobraz Dzikich pól, z oczu hucuła bije dzika potęga czarnohorskich szczytów. U jednego i drugiego widzimy fanatyczne przywiązanie do stron rodzinnych i wielkie ukochanie pieśni.

który barany przejść muszą. Czekamy długo, serce wali mi w piersi jak młotem, sztucer lata mi w ręku. Szczęściem barany nie nadchodzą długo, bo gdyby nawet pokazały się, chybiłbym bez wątpienia, tak byłem w tej chwili zmęczony i zemocjowany, żądzą zdobyczy podniecony.

Po chwili zacząłem odzyskiwać równowagę i spokój, gdy leżący obok mnie Wasyl szepnął mi w ucho „baran". O 120 kroków stał przed nami baran, jak z pod ziemi nagle wyrosły i jakby czekał na mój strzał i swą zgubę, odkrywając mi pierś szeroką. Wziąłem go na cel i strzeliłem.

Jak od reflektora echo strzału odbiło się od przeciwległej skały, jak gdyby strzał stamtąd pochodził. Takie wrażenie widocznie odniosły zwierzęta, gdyż baran strzelony, a za nim drugi, nagle za nim wybiegły, zwróciły się wprost w mą stronę i w przestrachu, położywszy ogromne rogi na karki, jak strzały szybko zbliżały się do mnie.

Na 20 kroków strzeliłem powtórnie w pierś pierwszemu. Kula zatrzymała go w miejscu, nie padł jednak, a zawróciwszy nagle, już powolnym krokiem szedł jeszcze chwilę i padł martwy. Drugi, widząc nagły zwrot towarzysza, również, jak on zwrócił w przeciwną stronę, dałem strzał do niego, a chcąc poprawić, gdy sztucer mi się zaciął, strzelić nie mogłem. Strzelił za nim Wasyl, lecz też spudłował i zwierz uszedł cało i szczęśliwie od nas.

Podbiegliśmy do zabitego. Okazał się wspaniałym brodaczem, przeszło 8 pudowym, o pysznych rogach 30 ft. wagi mających, cokolwiek w bojach z rywalami pobitych, o czarnej brodzie na białym podbródku, głęboko na pierś mu spadającym. Zwierz zwięzły, mocny, muskularny, pokryty brudno-żółtą szerścią, ciemniejszą i dłuższą na grzbiecie i karku, i krótkim ciemnym ogonie. Radości mej nie umiałbym określić należycie. Posiadałem dwa najpożądańsze okazy, za któremi tu umyślnie 4000 wiorst przyjechałem: „kozła i barana"!

(C. d. n.)



Łetyt oreł ponad more i sław hołosyty,
Horeż myni, na czużynie nihdy sia podyty!
Łetyt oreł ponad more, taj łetiwszy kryknuw,
Horeż myni na czużyni, szczo ja ne prywyknuw!*)

W tych prostych słowach pieśni huculskiej, ile wyrazu ukochania rodzinnych stron, tęsknoty i nostalgji!

A i swoje łupieskie rzemiosło Huculi niegdyś w szatę ubierali pieśni, uważając je za swe kapitalne zajęcie, zawód, do którego jakoby powoływał ich jakiś nieprzeparty zew przyrody:

Na wysokiej połonińci izrodyły riżki,
Ta, cy pijdem pane brate na wesni w opryszki?
A wrobimo topirczyki ta z samoi stały,
Ta nekłyczmo my nikoho, pijdemo my samy,
A wrobimo topirczyki, ta z samoji midy,
Jak naskoczym u wikońci, ta zaznajem bidy.

(Na wysokiej połoninie zrodziły się rydze, czy pójdziem panie bracie na wiosnę w opryszki? A zrobimy toporczyki ze samej stali, nie wołajmy nikogo, pójdziemy my sami. A wyrobim toporczyki ze samej miedzi, tak naskoczym w okiennice, poznać możem biedę).

Chyba trudno już o dosadniejszy wyraz strojenia zawodu zbójeckiego w szatę poezji! A następna piosnka to już gloryfikacja opryszniclwa; opiewa ona śmierć znanego zbója Pyłypa, straconego w końcu 18-ego wieku w Nadwórnej:

Ony jeho ta hubyły, za topirec jasnyj,
A lude se dywowały, jakijże win krasnyj!
Oj lude se dywowały, jakij win horoszyj,
A pane se czudowały, kilko maje chroszy!
Ne pase win cztery roki, ni kozy ni wiwci,
Łysze swiewaw u kobiwku, bili sorokiwci.

(Oni jego tam gubili za toporzec jasny, a ludzie się dziwowali, że on taki piękny! Oj ludzie się dziwowali, jaki on urodny, a pany się dziwiły, wiele miał pieniędzy! Nie pasie on cztery lata ni kóz ni owiec, tylko zgarniał do kobiałki białe sorokowce).

Tchnie z tych słów pierwiastek uczuciowy, ale też specyficznie hajdamacki. Czy nie szumiały podobną pieśnią ukrainne stepy po straceniu Nalewajki, Gonty lub Żeleźniaka?

W wielu też pieśniach przebija się nienawiść do Lacha ze stanowiska Hucuła-opryszka zresztą usprawiedliwiona.

Wpały Lachy, wsich zabrały,
Ruki nazad powiazały,
Ruki nazad zawiazały,
Do konyj poprypynały...

*) Podane w tej pracy huculskie pieśni, zebrał na Huculszczyźnie Kaz. Wład. Wójcicki. Stare gawędy i obrazy. Warszawa 1840. Nakładem Gustawa Senenwalda.

STANISŁAW MORAWETZ.

PRAWO ŁOWIECKIE.

O polowaniu na lisa.

(Dokończenie).

Przy polowaniu na czatach podkreślić należy przedewszystkiem, że odstrzeliwanie rodziców przy czatowaniu w pobiżu jamy w czasie gdy lisięta nie są jeszcze samodzielne (mniejwięcej od kwietnia lub maja po koniec lipca) a przezco skazane byłyby na śmierć głodową, nie jest zgodne z etyką łowiecką, chociażby lisa uważać mieli za jednego z najgroźniejszych szkodników łowiectwa. Miejsce na czaty, jak już wzmiankowano, obrać można w pobliżu zamieszkanej jamy, a to ile możności na kilkametrowem wzniesieniu, aby zapobiec zwietrzeniu myśliwego. Jeżeli możliwe, obrać przytem stanowisko obserwacyjne pod wiatr — tem lepiej a nawet już przy zdążaniu ku jamie trzeba starać się iść z przeciwnym wiatrem. W poprzednich dniach niekręcić się koło jamy dla uniknięcia podejrzeń u lisa, inaczej rychło zmieni swą kryjówkę. Także obrać można miejsce na czaty na znanych przesmykach lisich, a to zawsze ile możności w ukryciu lub na wzniesieniu i z przeciwnym wiatrem. Dla lepszego skutku odpowiednio do okoliczności posłużyć się przytem można umiejętnie wabikiem, naśladującym pisk myszy, piszczenie koźlęcia lub kniazienie zająca. Ewentualnie tam, gdzie zauważyć się daje więcej lisów także skądinąd dochodzących, można urządzać częste czaty przy padlinie względnie przy odpowiednio przygotowanem nęcisku. Ten ostatni rodzaj polowania, jako połączony i większemi zachodami, nadaje się więcej do należytego wyzyskania przez myśliwych zawodowych, mieszkających w samym rewirze leśnym, bądź w pobliżu tegoż.

Naogół przy czatowaniu zachować należy największy spokój, ciszę, nie palić o ile możliwe, mieć na sobie odzież dobrze odwietrzoną z dymu tytoniowego. Ponieważ lis wykrada się na rabunek najczęściej w nocy, (w zimie wymyka się częściej już z nastaniem zmierzchu, zaczem już wcześniej trzeba być na stanowisku), przeto czaty podczas widnych nocy księżycowych, zwłaszcza z miejsc otwierających widok na wyręby, halizny, polany leśne i t. p., rokują najwięcej powodzenia. Chcąc lisa zdaleka przynęcić do miejsca zasadzki, zwłaszcza w wypadkach, gdzie czatowanie w pobliżu jamy z powodu ich niedostępności jest niemożliwem, posłużyć się trzeba obwłoką (włóczką).

Do tego celu używa się surowych patrochów zwierzyny dzikiej lub domowej, wymoczonych jeszcze wedle możliwości przez kilka tygodni w bajcu z odleżałych śledzi — albo też używa się padliny z silnym

---

Nie jest to jednak plemienna nienawiść Zaporoża. Nie stać było na taką dzikiego i politycznie nieuświadomionego Hucuła 17-ego i 18-ego wieku. Hucuł nienawidził „Lacha", gdyż widział w nim przedstawiciela władzy, stróża bezpieczeństwa publicznego i karzącą rękę sprawiedliwości. W dobie porozbiorowej przenosi on tę nienawiść na cesarskich starostów i żołnierzy.

W naturze huculskiej przebija fatalizm wschodu, zapewne od Tatarów atawistycznie nabyty. Hordy ich wszak często przez dolinę Prutu przechodziły. Hucuł skazany obojętnie szedł na szubienicę, a gdy go się pytano, czego w ostatniej godzinie życia pragnie, żądał często... czułego tête a tête z dziewczyną! Fatalizmem umotywowaną beztroskę o jutro widzimy w wielu piosnkach huculskich. Byle była „lubka" (kochanka) miód i wódka, mniejsza o bliższą przyszłość.

Erotyka to częsty i głęboki motyw w huculskiej pieśni. Dziewczyna śpiewa:

A szoby ty mij myłeńki, takij wesełeńkij,
Jak u liti w Czarnohori witer studenenki

(Jako w lecie w Czarnohorze wiatr zimniuteńki).
A mołojec swej lubaszce odpowiada:

A szoby ty moja myła, taka wesełeńka,
Jak u liti w Czornohori woda studeneńka.

Motyw erotyczny w pieśniach huculskich występuje ostrzej w ustach kobiety, niż w ustach mężczyzny, może to charakterystyka kobiecego u hucułki temperamentu:

Szoby hory rozkopaty, lisy porubaty,
żeby widko do mołoho, taj do joho chaty!

Bo szeroka, bujna natura Hucuła nie krępuje się niczem! Moralne więzy nie istnieją. Wolna, niekrępowana żadnym kodeksem etycznym miłość, to prawo obyczajowe do dzisiejszego dnia głęboko zaszczepione u tego ciekawego ludu. Wierność w małżeństwie, to nie cnota, lecz dziwactwo w pojęciu mieszkańców dolin Prutu i obu Czeremoszów!

A jakie bywa u niego pożycie małżeńskie, i jak sobie je Hucułka wyobraża, jakiego pragnie, jak zresztą u ludu ruskiego jestto niemal życiowym dogmatem, wyjaśnia nam charakterystyczna piosnka:

Jak Hucuła ne lubity, u hucuła wiwci,
U Hucuła za pajasem pysane topirci,
Taj, jak zaczne żonku byty, bycza ne pytaje,
Taj, jak utne meży płeczy, aż dusza mynaje!

(Jak Hucuła nie lubić, u Hucuła owce, u Hucuła za pasem pisane toporce!*) A jak zacznie bić żonkę, to o bicz nie pyta, a jak utne między plecy, aż dusza ucieka!). Bo mąż w pojęciu żony, jak jej nie bije, to i nie kocha! (C. d. n.)

*) Pisane toporce są to toporki noszone za pasem przez Hucułów, kunsztownie rzeźbione i napuszczane farbą w rozmaitych kolorach.

odwiatrem, cuchnących ryb, lub najlepiej ubitego zdziczałego kota domowego (największy specjał lisi), upieczonego w całości w skórze na rożniu w otwartem polu, a następnie rozciętego wzdłuż spodu. Taką przynętę wkłada się do siatki i wlecze na sznurku po różnych ścieżkach i przesmykach w rewirze aż do miejsca zasadzki. Przed rozpoczęciem włóczki odwietrzyć należy dobrze podeszwy obuwia tymsamym materjałem, kórego użyto do obwłóki. Obok innych jeszcze sposobów przyrządzania przynęt istnieją także gotowe preparaty (obacz ogłoszenia w „Łowcu") których skuteczność jednak przedtem trzebaby wypróbować.



Notatki bibljograficzne.

Kazimierz hr. Wodzicki. **Wspomnienia z życia łowieckiego.** Wydanie drugie. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego. Lwów. Drukiem Anczyca w Krakowie. In 8-vo, str. 233 i spis rzeczy. Na czele portret ś. p. autora i podobizna jego podpisu.

Małopolskie Towarzystwo Łowieckie opatrzyło to wydanie następującą przedmową:

„Wspomnienia z życia łowieckiego" zajmują naczelne miejsce wśród tych utworów Kazimierza hr. Wodzickiego, które były poświęcone myślistwu. Na te „Wspomnienia" złożyły się artykuły, drukowane w trzech pierwszych rocznikach „Łowca", mianowicie:

1. Wspomnienia z życia łowieckiego. O wilkach. „Łowiec" 1878.
2. Wspomnienia myśliwskie. Polowanie na niedźwiedzie w Karpatach. „Łowiec" 1879.
3. Wspomnienia z łowów na dziki. „Łowiec" 1880.

Cykl ten, staraniem redakcji „Łowca" został następnie (1880) wydany w postaci książkowego przedruku, ale nakład ograniczony i czas sprawił, że jest to dziś wielka rzadkość bibljograficzna.

Dlatego też Małopolskie Towarzystwo Łowieckie przystąpiło obecnie do ponownego wydania. Niech ono będzie zarazem pamiątką 50-letniej rocznicy istnienia „Łowca". Powtórzenie wspomnień jednego z najznakomitszych tego czasopisma współpracowników, który przed laty 50-ciu na jego szpaltach dzielił się z Bracią myśliwską swemi niezrównanemi wrażeniami, uważaliśmy za najlepszy sposób uczczenia tej rocznicy.

Małopolskie Towarzystwo Łowieckie.

We Lwowie, w grudniu 1928 r."

Jak zaznaczono w rozesłanym pocztą prospekcie i w „Łowcu" Nr. 23/24 z dnia 15. grudnia z. r., książkę tę, która w handlu będzie kosztowała przeszło 6 zł., odstępuje M. T. Ł. swym członkom po cenie 3 zł. 50. Jest ona wydana bardzo starannie, jak wszystkie druki Anczyca i przedstawia się ze wszech miar sympatycznie.

W. Z.

Kronika.

Zjazd międzynarodowy w sprawach łowiectwa. W końcu listopada r. b. odbył się w Nowych Zamkach w Czechosłowacji zjazd kierowników łowiectwa Francji, Polski, Czechosłowacji i Rumunji, celem omówienia szeregu spraw, związanych z ochroną zwierzyny i z opieką nad prawidłowem łowiectwem na terenie międzynarodowym. Francję reprezentowali pp. Ducrocg i Villenave, delegowani przez ministerjum rolnictwa i zarazem inicjatorzy zjazdu. Czechosłowację — kierownik łowiectwa Schmidt, Rumunję — kierownik łowiectwa Saulesku, a Polskę referent łowiectwa w Ministerjum Rolnictwa, p. Juljan Eismond. Zebrani postanowili zainicjować organizację międzynarodowej rady łowieckiej, której celem byłaby ochrona prawidłowego łowiectwa (w szczególności opieka nad ptactwem przelotnem i sprawa zwalczania kłusownictwa w pasach pogranicznych), jaknajszersza propaganda zdobyczy wiedzy łowieckiej, oraz zawiązanie i zacieśnienie stosunków między łowiectwem różnych krajów.



Korespondencje

Rudniki koło Śniatyna, w listopadzie 1928.

Powiat śniatyński w świetle stosunków łowieckich.

Powiat śniatyński jeden z czterech powiatów tak zwanego „Pokucia" położony jest nad południowo-wschodnią granicą Rzeczypospolitej Polskiej. Graniczy on od południa z powiatem kosowskim, od południowego wschodu i wschodu granicą jego jest granica Państwa Polskiego od strony Rumunji, którą tworzy częściowo rzeka Czeremosz w swym dolnym biegu. Od północy przytyka do powiatu horodeńskiego, a od zachodu do kołomyjskiego.

Klimat całego powiatu należy do najłagodniejszych w Polsce, szczególnie południowa część powiatu ma zimy cieplejsze, niż w innych okolicach Państwa. Wiosną panują tu jednak ogólnie silne wiatry wschodnie, które wieją zwykle przez marzec i kwiecień. Lata przeważnie pogodne. Zjawisko długotrwałej słoty letniej — które tak często powtarza się na zachodzie i północy — tu prawie się nie zdarza. Przytem jednak upały nie występują tu tak często i silnie jak n. p. na Podolu. Jesienie są tu przeważnie ciepłe i długie.

Cały powiat przecięty jest od zachodu ku wschodowi rzeką Prut, która dzieli ten powiat na dwie części całkiem różne pod względem ukształtowania poganicznego krajobrazu i jakości gleby.

Część północna po lewym brzegu Prutu podobna jest geograficznie do Podola. Jest to dość silnie pofalowana równina, prawie bezdrzewna, o leniwie płynących potokach i glebie wybitnie czarnoziemnej. Część północna ma o wiele wyższe wzgórza, w dużej części pokryte lasami, przeważnie grabowemi.

Jest to już wybitne Podkarpacie, przytykające bezpośrednio do gór kosowskich, które ze wszystkich punktów powiatu są dokładnie widoczne. Przez tą część powiatu przepływa rzeczka Rybnica o charakterze górskim, wartka i kamienista, która wpada do Prutu o kilkanaście kilometrów na zachód od Śniatyna. Czeremosz tworzący granicę powiatu ma ten sam górski charakter, tworzy nieregularne koryto, często bardzo zmienia swój bieg i wzbiera po górskich deszczach. Wszystkie te trzy rzeki t. j. Prut, Czeremosz i Rybnica obsadzone są w wielkiej swojej części z obu stron koryta wikliną, która tworzy dość znaczne, miejscami kilkusetmorgowe t. zw. „łęgi“. Roślinność całego powiatu z powodu sprzyjającego klimatu i obfitości rzek i strumyków, dość bujna. W północnej części dużo łanów zbożowych i okopowych, przy zupełnym braku lasów, w południowej zaś, oprócz zbóż, spotykamy kilka niedużych kompleksów lasów liściastych. Nad Prutem i dolnym Czeremoszem jest też trochę łąk słodkich, ale w nieznacznej ilości. Istnieje tu też dość dużo t. zw. „tłok“ gminnych, czyli stałych ugorów nie przedstawiających dla łowiectwa najmniejszych korzyści.

Lasy pokrywają w obrębie powiatu śniatyńskiego obszar nie większy jak 1800 ha. Dominującym drzewostanem jest grab, który usunął sukcesywnie panującego tu dawniej dęba, tak, że ten ostatni pozostał tylko jako przymieszka, pomimo że dąb ma tu, tak pod względem gleby, jak i klimatu, warunki siedliskowe znakomite. Gospodarka leśna jest wszędzie niskopienna i odroślowa tak, że oprócz dębów nasiennych — drzew starszych jak 40 lat się nie spotyka. Wielka część obszarów leśnych, to zręby albo młodniki o różnem zwarciu. Podszycie składa się z różnych krzewów, traw i ziół t. zw. słodkich, będących dobrą karmą dla zwierzyny. Lasy te są przeważnie nieźle nawodnione, znaczna ich część rośnie nad Rybnicą, do której spływają mniejsze potoki leśne, natomiast bagnistych łąk, moczarów nie widać tu zupełnie.

Ten może nieco przydługi i nie każdego interesujący opis topograficzny musiałem umieścić, nietylko dlatego, by czytelnik nieznający powiatu śniatyńskiego mógł się bodaj tą drogą w warunkach lokalnych zorjentować, ale głównie dlatego, iż twierdzę, że tylko w ścisłym związku ze znajomością topografji danej okolicy, warunki racjonalnej gospodarki łowieckiej mogą być poznane, a prace i wysiłki nasze, dążące do podniesienia umiłowanego łowiectwa sprawiedliwie ocenione. Powiat śniatyński posiada 29 samoistnych okręgów polowania o łącznym obszarze 10.661 ha i 39 okręgów spółek łowieckich o łącznym obszarze 49.593 ha. Oczywiście nie cały obszar objęty ewidencją okręgów polowań samoistnych i spółkowych, a tylko znikoma część wyżej wymienionych obszarów jest dla łowiectwa zużytkowana; reszta to ogrody, drobne parcele, nieużytki, przestrzenie zupełnie bez zwierzyny, a tylko w bardzo nielicznych wypadkach „tereny ochronne“ w fachowem znaczeniu tego słowa.

Czynsze płatne przeważnie w naturaljach, jak pszenica, kukurydza, drzewo opałowe a także i zające Jest to zabytek z czasów dewaluacji, który ma swoje dobre i złe strony. — Cyfrowo wysokość czynszów przedstawia się na ogół dość skromnie, a jednak w stosunku do znikomej ilości zwierzyny w danym rewirze i w szczególności wobec koniecznych bardzo znacznych wkładów, które dla racjonalnej gospodarki łowieckiej są nieodzowne, a wreszcie w wielu wypadkach wobec znaczniejszych sum wypłacanych dobrowolnie tytułem odszkodowania, nawet na pozór znikome czynsze dzierżawne, łącznie z poprzednio wzmiankowanemi wydatkami, przedstawiają poważne obciążenie budżetów łowieckich.

Nie mogę tu nie wspomnąć, iż niektórzy panowie Starostowie w zbyt dosłownej interpretacji pewnego okólnika wojewódzkiego przy okazji zatwierdzania polowań wydzierżawianych z wolnej ręki, wywierali nacisk na ustalanie czynszów wedle norm owego reskryptu.

Okólnik ten brzmi: „Czynsz powinien być dla gmin poważnem źródłem dochodu, Norma: wartość jednego zająca w dniu 5. listopada każdego roku za każdych 40 ha przestrzeni górskich, w terenach zaś nizinnych obfitujących w drobną zwierzynę morma ta powinna być odpowiednio podwyższoną“.

W obszernym memorjale przedstawiłem szkodliwość szablonowego ustalania wygórowanych czynszów i odczułem prawdziwe zadowolenie, gdy województwo stanisławowskie w bardzo niedługim czasie, bo już reskryptem z dnia 8. I. 1924 L. 612/VII a wyjaśniło: „O ile postanowienia tego (t. j. poprzedniego) okólnika są w pewnej mierze imperatywem dla panów Starostów, o tyle w kwestji uregulowania czynszów dzierżawnych zawierają tylko ramowe wskazania, w obrębie których należy postępować. Nie może być mowy o przymusowem wyznaczaniu czynszów za wysokich i dla łowiectwa szkodliwych, ponieważ czynsze te powinny odpowiadać miejscowym stosunkom, które mogą być rozmaite nawet na terenie tego samego powiatu. W każdym jednak razie wskazanemby było, by czynsze dzierżawne ustanawiane były w stałym mierniku wartości, niepodlegającym ciągłym wahaniom.

Jeśli już mowa o okólnikach, musimy się trochę zatrzymać nad działalnością władz prowincjonalnych w stosunku do łowiectwa. Tu należy z całą bezstronnością ustalić: W okresie najrozmaitszych eksperymentów ekonomiczno-politycznych w czasie od r. 1918 do początku 1926 tylko zapobiegliwość i życzliwość dla spraw łowieckich, głębokie odczucie potrzeb myślistwa i od wieków wpojona w serca i umysły kultura łowiecka jednostek kierujących tym działem, uratowały nasze lasy i pola od zupełnego opustoszenia. Niema miejsca w ramach szkicu niniejszego na cytowanie nazwisk i silniejsze podkreślenie osobistych zasług odnośnych czynników. Niech tym, o których myślę, pisząc te słowa, będą one dowodem uznania wdzięcznych serc myśliwskich i podnietą do dalszej pracy w tej dziedzinie.

Jeszcze w r. 1920 kierownik ówczesny powiatu śniatyńskiego rozpoczął akcję w kierunku uregulowania stosunków łowieckich.

Dopiero okólnik Województwa stanisławowskiego z dnia 16. maja 1923 L. 3755/VII a stworzył podwaliny całego życia łowieckiego lat późniejszych. Wskazania w nim zawarte ujednostajniły gospodarkę łowiecką i wprowadziły ją na normalne i racjonalne tory.

A było to — że się tak wyrażę — „ostatnie dzwonienie“, by zapobiec wielu niewłaściwościom. Jakże uregulować stosunki łowieckie, jeśli niema ustanowionych okręgów, niema ewidencji spółek łowieckich, brak wykazu wydanych kart myśliwskich, niema strażników łowieckich i ich ewidencji, a wkońcu odczuwało się bardzo silnie brak jednolitej praktyki przy wydzier-

żawianiu prawa polowania! Dopiero dzięki usilnej pracy i nieustającej energji obecnego kierownika powiatu śniatyńskiego radcy d-ra Emila Golczewskiego, który już od lat kilku jest czynnym i zasłużonym członkiem M. T. Ł., przy współpracy Jego dzielnego referenta udało się nietylko pokonać ten ogrom prac przygotowawczych, ale też i samą gospodarkę łowiecką skierować na normalną i racjonalną drogę.

Tu należy podkreślić jeszcze jeden dodatni objaw a mianowicie: Praca ta odbywała się w ścisłej łączności z delegatami, co dało nam sposobność wypowiedzenia się w wielu wypadkach i pokierowania niejedną sprawą tak, jak tego dobro zwierzostanu wymagało.

Policja Państwowa współpracowała gorliwie i niejednego kłusownika w powiecie doprowadziło się do sądu.

Niestety władze sądowe nie zawsze okazywały tak potrzebną w podobnych wypadkach surowość. Szczególnie te nieszczęsne, a w skutkach tak fatalne odroczenia kar utrudniają ciągle w wysokim stopniu nasze zabiegi.

Wiem o okólniku p. Prezesa Apelacji Eks. Czerwińskiego, którego treści dokładnie nie pamiętam, ale wiem iż był on dla łowiectwa przychylnym.

Niech mi będzie wolno tą drogą zwrócić się z apelem, by okólniki takie często uzupełniano i przypominano, gdyż tylko bezwzględne tępienie klusownictwa ostremi karami i nieubłagana w tym kierunku stanowczość poskromi apetyty na cudzą własność i ujarzmi chęć dokuczania.

Wszystkie te starania władz nie odniosłyby pożądanego skutku, gdyby nie pełne zapału poczynania braci myśliwych.

Z prawdziwą radością mogę stwierdzić, iż prawie wszyscy właściciele i dzierżawcy polowań w powiecie śniatyńskim pracują w duchu racjonalnej gospodarki łowieckiej, mniej lub więcej umiejętnie, z mniejszym łub większym nakładem kosztów, ale zawsze w tym celu, by zwierzostan podnieść i warunki bytu dla zwierzyny polepszyć.

Niestety i tu mamy wyjątki pewne.

Do nich jednak tą drogą nie dotrę, gdyż ci napewno „Łowca“ czytać nie będą!

Skutki ich — delikatnie się wyraziwszy — „apatji“ są już widoczne.

Równocześnie też widzimy w powiecie wyniki wzmożonej opieki nad zwierzyną. Zwierzostan już w r. 1927 i 1928 poprawił się znacznie, pragnąć jedynie należy z całego serca, by ta poprawa trwała i by ci wszyscy, którzy tak pięknemi rezultatami innym i sobie zadowolenie sprawili, na przyszłość jeszcze większemi postępami poszczycić się mogli. Dość będzie nadmienić, iż na kilkunastu polowaniach tylko w obrębie powiatu śniatyńskiego padło z górą 2.000 zajęcy. Jak poważną wartość ekonomiczną stanowi dobry zwierzostan!

Niestety, wraz z polepszeniem zwierzostanu wzmogło się też kłusownictwo a zwłaszcza wnykarstwo n. p. w rewirach podpisanego zdjęto w przeciągu 3 miesięcy zimowych 250 sideł drucianych nastawionych na sarny i zające, natomiast wnykarzy nie udało się wyłapać.

Ponieważ staram się szkic niniejszy utrzymać w ramach ogólnych, zastrzegam sobie dokładny opis zabiegów hodowlanych w obrębie powiatu dla następnego artykułu. Wiemy wszyscy dobrze, jaką sumę pracy, starań i kłopotów musi wyłożyć hodowca, by często w warunkach lokalnych niesprzyjających przekonać się po latach, że praca jego tylko nieznaczne wydała owoce.

Na naszym terenie odczuwamy jeszcze ciągle okropne skutki wojny, która zwierzostan zniszczyła doszczętnie, ale i inne okoliczności przyczyniły się też do pogorszenia warunków dla bytu zwierzostanu nieodzownych.

Ptactwo wodne w szczególności kaczki dzikie w rozmaitych odmianach, cyranki i cyraneczki dawały nam przed wojną dużo rozkoszy myśliwskich; dziś, w skutek stałej prawie posuchy, regulowania rzek Prutu i Rybnicy a wreszcie w skutek meljoracji, bodaj otwartemi rowami przeprowadzonych, kaczki zapadają na środku Prutu, gdzie nagie szutrowiska uniemożliwiają przez brak wszelkiej osłony zbliżać się na strzał. Pozostało podchodzenie, lub podjeżdżanie gęsi dzikich, które już od połowy października zapadają na oziminach. Z tych samych przyczyn brak też kszyków i dubeltów, które dawniej ożywiały nieistniejące już dziś u nas moczary i błota.

Ciąg słonek prawdziwie dobrym nie był nigdy, w najkorzystniejszych warunkach słyszałem 6—8 słonek, na ciągu wiosennym i w jesieni kilka padło, obecnie zaś w jesieni zawsze jeszcze można kilka słonek ruszyć, na wiosnę natomiast w ostatnich latach ledwie 1—2 na ciągach słyszałem.

Kuropatwy w ostatnich 2 latach ładnie się rozmnożyły i niema prawie okręgu w powiecie, któryby nie posiadał conajmniej kilka stadek tych ładnych stworzeń.

Bażanty były u mnie przed wojną. O historji tychże pozwolę sobie także kiedyś osobno napisać.

Znacznie lepiej przedstawia się stan zajęcy. Jak już wspomniałem, zajęcy mamy znacznie więcej, niż w latach poprzednich, a to dzięki warunkom klimatycznym ubiegłego sezonu, dzięki obfitości żeru na naszych ogólnie urodzajnych glebach, wreszcie dzięki ochronie ze strony panów właścicieli i dzierżawców polowań. Tu pragnę podnieść jedną rzecz ze stanowiska hodowlanego niezmiernie ważną: Absolutnie nikt nie sprowadzał zajęczyc celem odświerzenia krwi, ani nie wyłapywał u siebie zajęcy żywych dla uregulowania stosunku płci. Ja również u siebie — jeszcze przed wojną — doszedłem drogą tylko całkiem naturalnej gospodarki łowieckiej t. j. przez bezwzględne tępienie wszelkich szkodników, racjonalny odstrzał i dokarmianie w zimie do całkiem ładnych rezultatów.

Co się tyczy sarn, to tych w północnej części powiatu niema całkiem, tylko trochę w lasach południowej połaci tegoż. Sprawa rozsiedlenia i hodowli sarn, tej największej ozdoby naszej kniei pokuckiej stanowi osobny temat, którego dla braku miejsca tutaj szerzej rozwijać nie mogę.

Dla zakończenia pragnę dorzucić słów kilka o dzikach. Przed wojną bardzo liczne — dziś tylko w bardzo nieznacznej ilości i jedynie jako przechodnie. To zjawisko znajduje częściowo swoje naturalne wytłumaczenie w pogorszonych warunkach żeru. Zwierzyna ta — aczkolwiek najmniej wskutek wojny ucierpiała, jednak już od roku 1919 prawie całkiem nasz powiat opuściła, przenosząc się natomiast w większej ilości w góry kosowskie.

Kosowszczyzna! To nowy temat dla bardzo ciekawych przejawów z życia naszego łowiectwa! Myśliwy

hodowca znalazłby tam pole do pracy na lata. Okolica śliczna, lasy i góry wspaniałe, a jednak tak uboga w zwierzynę. Dużo jeszcze pragnąłbym poruszyć, nie chcąc jednak zbytnio nadużywać cierpliwości szanownych Czytelników, zasyłam Im wszystkim pozdrowienie myśliwskie.

Cześć św. Hubertowi

Dr. Michał Moysa Rosochacki.

Chicago Heights Illinois 5 października 1928 r.

„ODSTRZAŁ JELENI“

W „Łowcu“ Nr. 14 z dnia 16 lipca wyczytałem następujące ogłoszenie „Odstrzał jeleni w tegorocznym sezonie zakupi myśliwy amerykański za gotówkę w dolarach. Poważne zgłoszenia, możliwie w języku angielskim, nadsyłać do Józefa Splichala syna Kraków Sławkowska 16“.

Szumna reklama! Iście po amerykańsku! Panowie, posiadacze polskich rewirów jelenich, miejcie raczej jelenie niż dolary! Amerykanie lubią uchodzić za wielkich filantropów, a w gruncie rzeczy są eksklusywni i samolubni. W swoim kraju nie chcą udzielać upoważnień na karty na polowanie obcym poddanym, choć ci ich prawa łowieckie doskonale znają i je ściśle przestrzegają, za kartę zaś (License) już w zasadzie płacić muszą, nie jak krajowcy jednego dolara, ale 10, a nawet 50 dolarów, a zachciewa im się strzelać zwierzynę w obcych krajach.

W swoim kraju już swemi automatami i automobilami zwierzostan wyniszczyli, a teraz chcieliby korupcję za dolary swą zgubną działalność na obce kraje rozszerzyć.

Amerykańskich myśliwych t. zw. American Sportmen znają już w krajach, gdzie się dawniej zagospodarowali, znają ich Skandynawi i Kanadyjczycy i w Kanadzie to wprost ich nienawidzą, bo ich słusznie uważają za samolubnych trzebicieli zwierzostanów.

Nie należy im przeto robić ułatwień, lecz owszem strzec się ich pilnie i od wykonywania polowania w naszych rewirach usuwać, a to i z powodu tych ich przywar w myślistwie, jak i dla odwetu za to, jak oni u siebie traktują myśliwych obcych.

Jan Żmuda, Członek M. T. Ł.

Z powiatu strzyżowskiego.

Dla ochrony zwierzyny przed drapieżnikami dwu i czteronożnemi i skrzydlatemi ustawa łowiecka przewiduje utrzymywanie strażników łowieckich, przez właścicieli i dzierżawców polowań. Strażników uczciwych, spełniających swą powinność nienagannie, prawie że niema w powiecie. Wogóle podzielićby ich można na dwie grupy. Pierwsza, to skryci kłusownicy, których trudno jest przyłapać na gorącym uczynku, druga, to spólnicy dzierżawców. Liczba tych ostatnich wzrosła, odkąd polowania dostały się w ręce naszych poczciwych i zawsze narzekających na ciężkie czasy włościan, co zagrażało kompletnemu wyniszczeniu zwierzyny w powiecie. Starostwo tutejsze przekonane, iż niepoślednią rolę w kłusownictwie odgrywają strażnicy łowieccy i lasowi, wydało polecenie z dnia 22/9 1928 L. 15726/3 ex 1928 do wszystkich właścicieli i dzierżawców polowań, nakazujące odebranie straży łowieckiej i lasowej broni myśliwskiej a zaopatrzenie w broń krófką palną lub sieczną. Poleeenie to w przeciągu 14 dni zostało wykonane. Wydanie powyższego rozporządzenia było sprawą naglącą nie tylko dla obwodów wspólnych, lecz i własnych okręgów polowania.

Za wykonanie tego nader cennego dla podniesienia w powiecie łowiectwa rozporządzenia, należy się tutejszemu Starostwu a w szczególności WP. Komisarzowi Jacewiczowi szczera podzięka, ponieważ ono usunie niewłaściwe i sprzeczne z nową ustawą wykonywanie prawa polowania przez strażników łowieckich i lasowych.

Cześć w Hubercie!

Stanisław Graff.

Wojsławice, pow. Sokal.

W załączeniu przysyłam Szanownej Redakcji fotografję uduszonego dzikiego kota (widać po krótkim puszystym ogonie), którego znalazłem w lesie. Widać,



że polując na ptaszki — włożył głowę w dziupło i wyciągnąć nie mógł. Jest to wypadek rzadko spotykany. Zdjęcie zrobione z drugiego drzewa z wysokości 4 metrów.

Bogusław Stamirowski

Brzozów, w październiku 1928.

Korespondencja z brzozowskiego pow. w „Łowcu“ jest pierwsza jaką znaleść można od jego istnienia. Cieszyłbym się gdyby tak nie było, gdyż nie wszystkie roczniki mam w posiadaniu. W każdym razie powiat tutejszy od wojny nie miał co w korespondencji podawać, bo bardzo tu smutno dla duszy myśliwskiej.

Długie postoje wojsk, tych od etapów, poza frontem karpackim wyniszczyły zwierzynę doszczętnie.

Wnykarstwo i kłusownictwo powojennych czasów nie pozwoliło przybyłej z innych okolic zwierzynie tu osiedlić się.

Długie lata nie widziano tu sarny, dziki wybito i przepłoszono, lisy wyparszywiały, a kuropatwy wyginęły. Polowania wspólne (gminne) za bezcen wydzierżawiane (po 5—10 zł.) z wolnej ręki, opłacały się

tylko dlatego, że dawały możność posiadania broni myśliwskiej tym, którym karta na broń nie powinna była być wydana.

Polepszenia tego stanu nie było komu przeprowadzić, gdyż członków M. T. Ł. jest na cały powiat tylko trzech i to wszyscy są delegatami.

Wnykarstwo było tak rozpowszechnione, że z jednego posterunku P. P. przyniesiono do Starostwa 120 sztuk bardzo zmyślnie skonstruowanych wnyków.

Dopiero nowa ustawa łowiecka poruszyła nieco żyłkę myśliwską uśpionych tutejszych Nemrodów, którzy pamiętali dobrze przedwojenne czasy. Wszak miało tu być pełno kuropatw, nierzadko trafił się w „debrze“ zając a na dziki trzeba było urządzać nawet urzędowe obławy.

Grupa myśliwych niestety jeszcze dotychczas nie członków M. T. Ł. założyło w Brzozowie „Towarzystwo Łowieckie“ i uzyskawszy zatwierdzenie statutu w urzędzie wojewódzkim, ukonstytuowało się pod przewodnictwem Karola Scholza, kierownika szkoły, wytrawnego myśliwego, ogólnie szanowanego obywatela i kochanego towarzysza myśliwskiego z tych „starej daty“.

Odezwę jego pióra dołączam, z niej widać jak ukochał on naszą piękną podgórską przyrodę i jak całą duszą pragnie wiernie służyć św. Hubertowi. *)

W powiecie upływa z końcem stycznia 1929 r. sześcioletni okres dzierżawy przeważnej części okręgów wspólnych.

Zatem według nowej ustawy ustaliło się już okręgi polowań, obecnie wybiera nowe Zarządy spółek łowieckich a będzie się wydzierżawiać polowania wspólne. Mamy nadzieję, że prawo polowania dostanie się w powołane ręce a w każdym razie w lepsze niż dotychczas. Powołane do życia nowe Towarzystwo niezawodnie w myśl naczelnego wskazania statutu do tego się przyczyni.

W roku bieżącym donoszono o pokazujących się tu i ówdzie kuropatwach, jednak nie spotkałem myśliwego, któryby się mógł jakimś trofeum kuropatwim pochwalić. Co do stanu zajęcy zdania są podzielone. Zobaczymy, gdyż w tym roku będą mogli i myśliwi, legalnie zapolować. Co do stanu sarn, to jest ich tu jeszcze bardzo mało, widywano parę sztuk w rozległych lasach biskupstwa przemyskiego i w lasach dydniańskich.

Wobec rozpoczęcia sezonu myśliwskiego czas by pomyśleć o statystyce myśliwskiej, dla którego celu oczekujemy my delegaci odpowiednich druków z M T. Ł. Takich druków potrzebowalibyśmy na powiat tutejszy ze 100 sztuk.

Obym po sezonie myśliwskim mógł się podzielić weselszymi wiadomościami.

Cześć św. Hubertowi!

Aleksander Ulm.

---

*) Odezwa ta, niestety, do rąk Redakcji nie doszła.



†

Bolesław Wittig

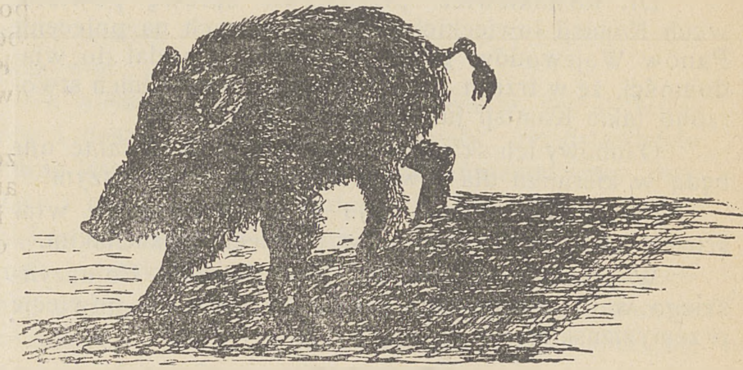
Ziemianin, b. Marszałek powiatu Nowy-Sącz, em. Sędzia, długoletni członek i Delegat M.T.Ł. zmarł w grudniu 1927 roku w majątku swoim w Chełmcu polskim.

CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI!

„Wspomnienia z życia łowieckiego“*) niezrównany cykl opowiadań ś. p. Kazimierza hr. Wodzickiego o polowaniach na wilki, niedźwiedzie i dziki, wydane staraniem i nakładem M. T. Ł., na pamiątkę 50-lecia istnienia „Łowca“, mogą Członkowie M. T. Ł. nabywać w biurze Towarzystwa, Lwów ul. Ossolińskich 11 III. p., po cenie zniżonej, t. j. po 3 zł. 50 gr. za egzemplarz. Termin sprzedaży po tej cenie naznaczony w prospekcie do końca r. 1928, przedłuża M. T. Ł. do końca stycznia b. r. Po tym terminie cena wyniesie przeszło 6 zł., podobnie jak w handlu. Koszt poleconej przesyłki pocztowej wynosi 90 gr., koszt zaliczki 1 zł. 40, ponad cenę kupna.

---

*) Zob. rubrykę: „Notatki bibljograficzne“.





Sprawy Towarzystwa

SPRAWOZDANIE

z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dnia 3. grudnia 1928 r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni: wiceprezesi C. Czarkowski-Golejewski, A. Mniszek i dr. A. Sander, członkowie Wydziału: Wł. Garapich, T. Jędrzejowicz, E. Münter, dr. A. Małaczyński, St. Pieńczykowski, dr. J. Rosienkiewicz, dr. W. Ziembicki, zastępcy M. Chrzanowski, St. Kiełczewski, Fr. hr. Meraviglia, zaproszony Inż. St. Kamocki, prowadzący protokół W. Wesołowski.

Nieobecność usprawiedliwił St. Jaśkiewicz.

Delegat Wydziału Wł. Garapich i inż. St. Kamocki przedstawili sprawę przeniesienia ze Stanisławowa tamt. Instytutu łowieckiego i Spółki hodowlanej. Nad sprawą tą wywiązała się ożywiona dyskusja, zaś powzięcie decyzji co do ewentualnego objęcia agend tych zrzeszeń, względnie jednego z nich odłożono, aż do nadejścia wiadomości, jakie stanowisko względem nich zajmie Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie, gdzie te sprawy będą przedmiotem obrad na posiedzeniu Zarządu głównego w dniu 6. grudnia.

Dr. Rosinkiewicz przedstawił sprawę powiatowych Komisji łowieckich, organizowanych na polecenie Panów Wojewodów przez Starostwa i podał do wiadomości, że w trzech województwach wschodnich stworzono takie Komisji już w 12-stu powiatach.

Osobowy ich skład rokuje nadzieję, że działać one będą w kierunku dla łowiectwa najprzychylniejszym.

Delegatem zamianowano Jana Artwińskiego właściciela majątku Łęki górne w powiecie pilznenskim.

W poczet członków przyjęto Henryka Poluszyńskiego w Ciemierzyńcach poczta Dunajów w powiecie przemyślańskim.

SPRAWOZDANIE

z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 22. grudnia 1928.

Przewodniczy Prezes J. hr. Bielski.

Obecni: Wiceprezes A. Mniszek, członkowie Wydziału: H. Prek, St. Pieńczykowski, dr. W. Ziembicki, Zastępcy: M. Chrzanowski, St. Kiełczewski i prowadzący protokół W. Wesołowski.

Nieobecność usprawiedliwili, St. Jaśkiewicz, dr. A. Małaczyński, gen. F. Meraviglia i A. Sander.

W sprawie ewentualnego wcześniejszego zamknięcia polowania, Wydział uprasza Prezydjum, by porozumiał się z PP. Wojewodami lwowskim, stanisławowskim i tarnopolskim w sprawie wcześniejszego zamknięcia polowania na zające.

Prezes oświadczył, że po otrzymaniu danych, jakich spodziewać się należy od Delegatów M. T. Ł. na skutek odezwy umieszczonej w Łowcu będzie odpowiednia akcja wszczętą.

W poczet członków przyjęci zostali: dr. Justyn Gelehrter w Tłumaczu, inż. Jakób Jakubowicz w Peczeniżynie.

UWAGA!

Wizerunki Redaktorów „Łowca“ uzupełnia się opuszczonym w druku szczegółem, mianowicie, że wydawnictwo to, w czasie od maja 1921 do końca marca 1922 r., podpisywał sekretarz Wydziału M. T. Ł. prof. Rudolf Wacek, jako redaktor odpowiedzialny. Redaktor naczelny bowiem, A. Mniszek, będąc kierownikiem wojskowej wówczas fabryki broni „Arma“ — nie mógł ze względów służbowych „Łowca“ podpisywać.

S. K.

Kongres hodowców królików.

Centralny Komitet do spraw Hodowli Drobiu w Polsce, dążąc do podniesienia hodowli królików, organizuje w Katowicach w dniach 2—4 lutego r. 1929. kongres hodowców królików.

Z racji kongresu odbędzie się w Katowicach wielki pokaz królików. Wymieniony Kongres będzie miał charakter zjazdu ogólno polskiego.

Zjazd odbędzie się w Katowicach ze względu na to, iż na Śląsku obecnie mamy najwięcej hodowców królików.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Z Drukarni Narodowej, Lwów, Szajnochy 2. — Tel. 21-35.